Rok XIII. **TYGODNIK KATOLICKI.** Rok XIII.

№ 30. Grodzisk, 27. lipca 1872. № 30.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćrocznie wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr, 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk.** 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr. 8) W **Australii** 2 tal. 20 sgr.
Listy adresować należy do **Poznania** (**Posen**, Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu. Numer pojedyńczy kosztuje 5 sgr. = 1 złp.

Deum, qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

Spis rzeczy: Mówa Ojca św. do deputacyi niemieckiéj. — Mowa deputowanego Dr. Reichensperger'a (Crefeld). (Dokończenie.) — Odpowiedź p. Dr. Romanowi Szymańskiemu. — W sprawie „Upiorów“ *Dziennika*. — *Korespondencye:* Rzym 1, 2, 3. — Z pod Brzozowa. — Ciekawy artykuł *Orędownika*. — Proste zapytanie do *Dziennika*. — Uwaga dla *Gazety Tor.* —

Mowa Ojca św. do deputacyi niemieckiéj.

Deputacya kolonii niemieckiéj, osiadłéj w Rzymie, dostąpiła była z powodu rocznicy 26. letnich rządów Piusa IX. zaszczytu przedstawienia się Ojcu św. i złożenia mu powinszowań. Przy téj sposobności Ojciec św. wypowiedział dość długą mowę. Słowa papieża następnie nabrały w całym świecie ogromnego znaczenia. Mianowicie niemieckie dzienniki rzuciły się zajadle do komentowania ich w najdziwaczniejszy sposób. Upatrywały one i upatrują do dziś jeszcze we wzmiance o Niemcach i o kolosie olbrzymim, który ma być jednym malenkim kamykiem w gruzy rozwalonym, wyraźną alluzyą do cesarstwa niemieckiego. Łatwo pojąć, że dzienniki, a zwłaszcza dzienniki urzędowe, starają się panujące obecnie rozdrażnienie sfer rządowych, jeszcze bardziéj zaostrzyć. Chodzi im także o bałamucenie opinii publicznéj. Papieztwo podają jako wrogie „protestantyzmu“, cesarstwu — w mowie Ojca św. znajdują wrzekomo potwierdzenie mniemania swojego. Naprożno *Germania* berlińska po kilkakroć tłomaczyła znaczenie wyrazów, podając nawet w oryginale włoskim przemówienie Ojca św. — Prasa rządowa wciąż z okoliczności téj mowy podżega umysły i coraz większą nienawiść ze strony protestanckiéj roznieca.

Oto teraz słowa Ojca św.:

Przedewszystkiém dziękuję wam za wyrazy przychylności, któreście mi wypowiedzieli. Zgadzają się z temi, które wypowiedziano mi ze wszystkich stron Niemiec, a które przyczyniają się do mego osobistego podniesienia ducha. Właśnie w najświeższym czasie otrzymałem doniesienia z Kolonii, Monasteru, Paderbornu, z Monachium, Regensburga i wielu innych dyecezyi Niemiec; dowiedziałem się z nich, że ludność katolicka obchodziła tamże najświeższe rocznice mego urodzenia i pontyfikatu wielkiemi uroczystościami, publicznemi modlitwami, a przedewszystkiém gorliwém przyjmowaniem świętego sakramentu. Jest to w saméj rzeczy najpewniejszy sposób powstrzymania prześladowań Kościoła.

Co się zaś tyczy owego prześladowania, które teraz w ojczyźnie waszéj powstało, stawcie mu czoło przez modlitwę i przez wytrwałość; używajcie środków prasy i publicznego słowa; działajcie z równą rozwagą, jak stałością. Bóg chce, ażeby szanowano i słuchano zwierzchnika państwa; lecz chce także, ażeby dano świadectwo prawdzie i zwalczano błędy.

Mamy tu do czynienia z prześladowaniem, które zdawna przyspasabiane, teraz wybuchło. Pierwszy to minister potężnego mocarstwa stanął na czele tego prześladowania, osięgnąwszy świetne korzyści wojenne. Kazałem mu oświadczyć (a nie ma to być tajemnicą, niech cały świat o tém się dowie), że tryumf bez umiarkowania nie jest trwały, że tryumf zapuszczający się w walkę przeciw prawdzie i przeciw Kościołowi, jest szaleństwem. Owo prześladowanie stanie na przeszkodzie świetności i wytrwałości tych powodzeń. Kazałem mu przedstawić, jako katolicy aż do obecnéj chwili rządowi swemu byli oddani; bez przestanku wypowiadali wobec mnie biskupi, księża i znakomitsi cywilni, jak wysoko umieli cenić życzliwe usposobienie rządu i wolność, których doznał Kościół. Tak samo wypowiedział rząd z swojéj strony zadowolnienie zachowywania się katolików. W obec takich urzędowych oświadczeń i ustępstw — jakżeby sobie wytłómaczyć, aby katolicy na raz zamienić się mieli w ludzi, którzy wypowiadają posłuszeństwo, knowają niebezpieczne zamiary, przemyśliwają nad zagładą państwa? Takie pytanie kazałem stawić prezesowi ministerstwa; na odpowiedź ciągle jeszcze oczekuję, — może dla tego, że na prawdę nie ma odpowiedzi.

Wznieśmy zresztą wzrok do Boga; nie zawahajmy się w ufności, trzymajmy się w jedności. Kto wie, czy wkrótce nie odłamie się w górze kamyczek, który zdruzgoce podstawę kolosu. Ale jeśli Bóg zechce

nawet dopuścić, aby daléj trwało prześladowanie, — i wtedy Kościół nie ma obawy. Przeciwnie! Wśród prześladowań Kościoł oczyszcza się duchowo, wzmacnia się, ubiera się w nową piękność. Niewątpliwie potrzebne jest częściowe oczyszczenie Kościoła, a to dokona się przez prześladowania, wychodzące od potężnych władz politycznych. Wtedy to chwast oddzieli się od pszenicy i zagrodzi się wszelkiéj połowiczności. Czekajmy z całą ufnością, co Bóg przeznaczy.

Okazujmy rządowi poszanowanie i posłuszeństwo tak długo, dopókąd nie nakazuje nam czegoś sprzeciwiającego się przykazaniom Boga i Kościoła.

Teraz błogosławię waszą Ojczyznę, błogosławię was i wasze rodziny, waszych przyjacioł i wszystkich dobrych katolików Niemiec. Niechaj Bóg zachowa was w swojéj opiece, abyście się utwierdzili w wykoniu tego wszystkiego, co wam nakazałem.

Mowa deputowanego Dr. Reichensperger'a (Crefeld)

powiedziana w Sejmie niemieckim dnia 19 czerwca w dyskusyi nad prawem o Jezuitach.

(Dokończenie).

Nam zależy właśnie bardzo wiele na pokoju zobopólnym; my katolicy nie chcemy być uciskanymi przez ogromną potęgę państwa, stojącą nad nami, i niezmierną większość, siędzącą tu przed nami, to nie żadna przyjemność, my chcemy żyć daléj w pokoju. Ale na Soborze zapatrywano się na tę rzecz inaczéj, nie tajono sobie — Ojcowie Kościoła nie są tak tępymi i krótkowidzącymi — nie tajono sobie co nastąpi lub nastąpić może, Augsburska gazeta, to pismo wszechświata dość to nawet wyraźnie głosiła. Ale większość mężów w Soborze rozumiała, że potrzeba sprowadzić taką katastrofę, że nie trzeba cierpieć, aby za pomocą rezerwacyi w myśli nauczyciele naszych przyszłych teologów, w ogóle nauczyciele naszéj młodzieży, mogli się wynosić po nad Papieża i jego rozstrzygnięcia w wierze. W waszych oczach, Panowie, jest to może błędném obliczeniem — dobrze — nastąpi za to kara, tak, ale kara w Kościele samym.

Przypominam sobie jeszcze bardzo dobrze jak pan Dep. Miquel powiedział raz w rozprawie parlamentarnéj — wówczas kwitnął bardzo tak nazwany stary katolicyzm, obiecywano sobie po nim złote góry — że nieprawdziwi katolicy będą przez prawdziwych pokonani; co jest fałszem, to katolicy w walce między sobą jako fałsz wyrzucą. Zdaje się, Panowie, że porzuciliście te nadzieje. P. Dep. Miquel jest jeszcze może tego zdania, dla tego niechce głosować za uchwałą. Nie widzę go tu przynajmniéj (*wesołość*).

Znowu, Panowie, przedstawiono nam różne strachowiska. Pomiędzy innymi przytoczono Bellarmina. Dziwię się, że ten pan to uczynił, nie wiem czy go przeczytał całego lub mu się tylko przypatrzył z daleka — Bellarmin jest to bowiem bardzo obszerne dzieło, i nie wierzę aby p. Dowe inaczéj się niém był zajął, jak że sobie jaki smaczny kąsek z niego wyjął. (*Śmiech z lewéj, wesołość z centrum*). W każdym razie powinien był oprócz tego czytać pozniejsze i rychlejsze dzieła z czasów Reformacyi, był zobaczyć co te o stosunkach Kościoła do państwa, o wierze i o władzy państwowéj powiedziały n. p. dzieła Knoksa, Buchenau'a i t. d., byłby się przekonał, że ci daleko się bardziéj srożyli niż Bellarmin. Mieliżbyśmy katolicy dla tego protestantyzmowi wypowiedzieć wojnę, że protestanccy mężowie proklamowali potworne rzeczy, lub dla tego, że Kalwin kazał spalić Servet'a? Gdybyśmy katolicy chcieli Kalwinom lub protestantom za takie dawno minione rzeczy wypowiadać wojnę, gdybyśmy byli większością i władza państwa po naszéj była stronie; cóżbyście powiedzieli na to? Ależ to wy czynicie dziś z nami. (*żywe oklaski z centrum.*)

Jeszcze inne Curiosa przedłożono nam tego poranku. Pan dep. Völk przytoczył nam już kilka razy nielojalne wyrażenie się jednego z Biskupów, będącego podobno w przyjaźni z Jezuitami, — co z resztą prawdą być może. Za to więc Jezuici mają odpowiadać że ten Biskup kilka nierozmyślnych słów wymówił, jeżeli tylko rzeczywiście tak było. Biskup nie został za to ukarany, a cóż nam do plotek na karb jego zrobionych! (*bardzo słusznie, w centrum*). On nie jest skazany na karę i nie trzeba, by go z téj tu mównicy, jak się to stało, obwiniano, niemając wyroku przed sobą. To niesłusznie się dzieje podług wszelkiego prawa.

Potém, Panowie, wystąpił pan Dowe i opowiedział nam straszliwą historyą z klasztoru o biedném dziecku Jezu w Akwizgranie. I ja słyszałem o téj historyi; pan Schulte „wielki kanonista," słyszał, jak to mówią, że dzwonią, ale nie widział w którym kościele. Ja znam cały przebieg tego zajścia i jestem gotów każdemu opowiedzieć je prywatnie, ponieważ ono dotyczy osób, których nie chciałbym wspominać tu z mównicy z względów delikatności. Wtenczas zobaczyłby pan Dowe, że zajście w Akwizgranie właśnie dowód przeciwko niemu stanowi. Nie chcę tu, jak powiedziałem, wchodzić w prywatne sprawy, mniemam że trybuna parlamentu za wysoko stoi. (*Żywe oklaski w centrum*).

Tyle powiedziałem o śmiechu w centrum i o przyczynach naszego śmiechu w czasie rozpraw. (*Wołanie, głośno, wyraźnie.*) Panowie, żałuję jeżeli nie słyszycie, lecz wam poradzić nie mogę.

Dep. p. Windhorst powiedział tutaj: „Jeżeli chcecie wojny, mieć ją możecie," a te słowa ogłoszone jako wyzywające, swawolne, jako zuchwałe podniesienie rękawicy. Ja, Panowie, powtarzam to samo w tém samém rozumieniu co i p. Windhorst. Musimy przyjąć narzuconą nam walkę, i przyjmiemy ją. Powinniśmy przyjąć ją, w obronie Kościoła naszego, który za jedyny prawdziwy, jako zbawienie dla ludzkości uważamy, i jako wierni synowie przy nim trwać musimy. Lecz w jakimże sensie przyjmujemy tę walkę? My wiemy wszyscy bardzo dobrze, że żadnych materyalnych środków nie posiadamy na rozkazy, a choćbyśmy je i mieli, nie powinnibyśmy ich jako dobrzy katolicy przeciwko własnemu państwu używać. My inną broń mamy, broń, przeciwko której wasze mechaniczne i fizyczne oręże, nawet wasze nabite działa nic nie wskórają. Bronią naszą jest ofiara duchowa, silna wiara, i modlitwa (*bardzo dobrze, wielka prawda, centrum*). Wam zdaje się może dziwaczną broń ta. Ale gdybyście znali lud katolicki tam, gdzie jeszcze jest prawdziwie katolickim, przyznalibyście mi słuszność. Wierzcie mi, jeżeli wyrzucicie z bezwyznaniowych szkół, gdzie je zaprowadzić chcecie, krzyże i obrazy Matki Bozkiéj, — jak to Komuna paryzka zaraz po swém narodzeniu się uczyniła — wtenczas ludność katolicka wznosić będzie krzyże na szczytach swych gór i na miedzach swych pól, — jeżeli rząd cierpieć ich nie będzie na publicznych drogach, — i tam pójdzie lud modlić się u ich stóp, by dać świadectwo swéj wierze. Wtenczas, Panowie, ogłosicie może, że procesye są niebezpieczne dla państwa. Tutejsze pisma publiczne już w to uderzyły, i jestem przekonany, że podobny wniosek wkrótce „liberalną" opinią publiczną dla siebie pozyska. Ależ jeżeli zakażecie procesyi, będziecie zmuszeni wypowiedzieć wojnę każdéj staréj babince chodzącéj z różańcem w ręku i modlącéj się do Boga,

by dał — upamiętanie prześladowcom Kościoła. Takie to będą powszechne modły, które po wszystkich katolickich krajach się rozszerzą i owa broń jaką my walczyć zamierzamy, a ciekawym, czy się pomiędzy wami znajdzie jaki genialny wynalazca, który nam broń tę wydrzeć zdoła. (*Wielka prawda, centrum*) Może i to być!

Panowie, słyszymy ciągle, że Sobór jest właściwém ogniskiem zaczepek katolickich, przyczyną panującego rozdwojenia. To nieprawda, Panowie. Niepojmuję, iż tak wielu z pomiędzy was, którzy, lubo jeszcze nie jesteście tak starzy jak ja, jednakże już się dość długo sprawami publicznemi trudnicie, gazety czytacie, zajmujecie się pracą — to jest pracą liberalną, bo nasze pismo czytacie wtenczas tylko, gdy chcecie truciznę z nich wycisnąć — niepojmuję, mówię, że niespostrzegacie, do czego ta prasa liberalna już od dwudziestu lat dążyła przed *Syllabusem* i *Soborem*. Przykro mi przynosić tutaj wycinki gazet i t. p., ażeby z tego coś wyczytać, co się chwilowo nie da odeprzeć; lecz przytoczę wam powagę, która przynajmniéj dla wielu z was, dla tych, którzy macie sympatyą do zgromadzeń protestanckich, będzie miała znaczenie. Patrzcież, Panowie, w r. 1859 28. listopada, a więc dawno przed Soborem Watykańskim, badeńska konferencya protestantów następujące punkta uchwaliła:

1. Istota nowoczesnego państwa — jest to zupełnie coś innego niż to, co my zwyczajnie pod nazwą państwa rozumiemy — polega ona na silném skoncentrowaniu wszystkich części składowych życia publicznego i omnipotencyi władzy państwa, która uznaje te tylko prawa, które sobie sama nadała.
2. Nowoczesne państwo powstało tylko z protestantyzmu lub przez protestantyzm; dla tego ściśle do siebie należą.
3. Kościół Rzymski jest korporacyą, o ile go za takową państwo uznaje — a nie jest wcale autonomiczną korporacyą.
4. Rzymska Stolica jest protestantyzmowi obcą zupełnie, nieprzyjacielską potęgą.

Otóż widzicie, Panowie, owe tezy — mam tu zbiór podobnych rzeczy, które sobie na poźniéj zachowam — uchwalono i na innych konferencyach; w Bremen żądano, aby w naszych czasach głoszono śmierć i zagładę Kościołowi i Papieżowi, a to wszystko działo się przed Soborem Watykańskim. Co do pracy, to potrzębujemy tylko wnijść do pierwszéj lepszéj czytelni, a znajdziem zewsząd powtarzane zdanie: „Precz z Papieżem! precz z katolicyzmem!“ I dzisiaj rozległo się tutaj to *nonopery* wołanie, co mi, mówiąc mimochodem, przypomina bardzo popów, których u nas chcą zaprowadzić, (*wesołość*).

W duchu więc tych wyżéj wspomnianych uchwał, głoszono wszystko, cośmy tutaj słyszeli: Te uchwały wypowiadają wyraźnie, że Papież jest potęgą nieprzyjazną, tutaj nieposuwacie się jeszcze tak daleko, mówicie tylko, że Jezuici są nieprzyjazną potęgą, że oni przewodzą Papieżowi, mógłby wprawdzie nastać rozsądny jaki Papież, lecz Jezuici muszą w każdym razie być zniesieni. Powiedziano daléj, że Jezuici byli oddawna i są po dziś dzień najnieprzebłagańszymi nieprzyjaciołmi protestantyzmu, że z nim wiodą wojnę na zabój. Jest to, Panowie, jeden z tych frazesów, w których jest pół prawdy, pół fałszu. Jezuici prowadzą z każdem innem wyznaniem bronią wiary duchową walkę, o jakiéj mówiłem wyżéj, w innym sensie frazes ten jest zupełnie fałszywym. Wskażę wam tylko, Panowie, że n. p. — ale tego zapewneście Panowie także nieczytali — że w czasach, gdzie szło o to, aby przywrócić jedność pomiędzy rozmaitemi chrześciańskiemi wyznaniami w Niemczech, dążność, którą sobie wytknęło wielu szlachetnych ludzi ówczesnych jak n. p. Leibnitz, Bossuet i wielu szlachetnych książąt, jenerał Jezuitów O. Noyelles, byli główną sprężyną, tę dążność popierającą. On to starał się najbardziéj o przyprowadzenie téj jedności do skutku i on — niepodaję tego za ewangielią, lecz wyczytałem to w książkach wiarogodnych — przyczynił się do tego, że uchwały Soboru Trydenckiego zostały zawieszone, by sobie swobodnie z stron obuch można było podać ręce do zgody. I o cóż rozbiły się owe szlachetne dążności? O francuzką chciwość władzy, o królów francuzkich, którzy się cieszyli z rozdwojenia w Niemczech. Na to liczyli królowie francuzcy wówczas, jak i podziśdzień wielu Francuzów liczy. Nie dawno także jako środek do zaczepki przeciwko Jezuitom i klerykalnemu centrum, przytoczono Renan'a, zdaje mi się już dwa razy (*przytakiwanie*). Pojmuję bardzo dobrze, że Francuzi barwy Renan'a i ci wszyscy, którzy się na Niemczech pomścić pragną, przyklasną w dłonie z radości na to, co się tu dzieje. I Francuzi mają bez wątpienia powód do radości; lecz czy nas dla tego zwyciężą o tém wątpię bardzo; względem poczucia obowiązków Niemców łudzą się zapewne; lecz byłoby już dość przykrém, gdyby klęski wojenne dla tego przyśpieszone być miały, że Francuzi widzą nas rozdwojonych wewnętrznie, a to musicie spostrzegać, Panowie, jeżeli na drodze, na którą wstąpiliście, i któréj następne etapy nam wskazujecie, daléj postępować zamierzacie.

Mówiono o Lidze francuzkiéj, w któréj i Jezuici biorą udział czynny; ale ja nie słyszałem jeszcze ani jednego dowodu, na którymby się to rzeczywiście tak ciężkie oskarżenie oprzeć mogło. Zaprzeczam po prostu temu twierdzeniu, jest to z pewnością nieprawdą, inaczéj niechaj dowiodą tego, ale dowiodą jak należy, tak, abyśmy juryści mieli respekt wobec dowodów, nie zaś tak, że nam przyniosą broszury i nowiny gazeciarskie, z tego odczytają nam parę zdań, których nikt sprawdzić nie jest w stanie. Może to dla wielu posłużyć za dowód, ale rozważni mężowie nie widzą ani cienia dowodu.

Mówiono także o Jansenistach, że Janseniści walczyli przeciwko Jezuitom, a byli przecież dobrymi katolikami. Tak, jest to niezaprzeczoną prawdą, i tych, którym może zbywa na broni do walczenia przeciwko Jezuitom, odsyłam do: *Lettres provinciales* de Pascal. Posiadając to dzieło, niepotrzebujecie zadawać sobie więcéj pracy, tam są wszyscy hiszpańscy Kazuiści i wszystko w najjenialniejszy sposób przeciwko Jezuitom, przez tę niezmiernie uzdolnioną głowę zestawione; wszystko, co dziś piszą przeciwko Jezuitom, jest w porównaniu do tego niczém. Tak, Janseniści byli nieprzyjaciołmi Jezuitów, a byli to ludzie religijni, skłaniający się do ascetyzmu a jako rygoryści nie jako wolnomyślni wypowiedzieli wojnę Jezuitom, którzy im się nie dość surowymi wydawali. Lecz cóż to wam dowodzi, Panowie? Otóż, że są rozmaite prądy w Kościele katolickim istniejącym lat przeszło 1800. Nie będę was tak długiemi przytoczeniami jak p. Dowe nudził — wstrzymywał, powiem raczéj, bo jestem przekonany, że przy tamtych nienudziliście się — lecz muszę wam przytoczyć nieco z tego, co król francuzki Henryk IV., Henryk z Nawarry, odpowiedział Jansenistom, którzy w licznéj deputacyi, jako członkowie parlamentu wystąpili przed nim, prosząc o zniesienie Jezuitów. Są to piękne słowa, a gdybym chciał postąpić sobie tak, jak pan Dowe, przeczytałbym to oświadczenie od początku do końca, ale będę miał litość i przeczytam wam tylko niektóre ustępy z mowy, którą Henryk IV. pożegnał członków Parlamentu. Otóż powiedział on między innemi: „Nie cierpiecież przecież nic na tém, że Jezuici wyrzekli nie dawno, że Papież nie myli się....“

Widzicie z tego Panowie, że to nie jest nową nauką! ale Klemens VIII., Papież ówczesny, mógł się omylić....

To Jezuici przyznawali.

W każdym razie jestem pewnym, że Jezuici nie przyznają Ojcu św. więcéj władzy jak inni duchowni, i mniemam, że gdyby o to chciano im wytoczyć proces, trzebaby się zarazem z całym Kościołem katolickim procesować. Tak jest wszystko i dzisiaj jeszcze, odliczywszy niektóre zdania pojedyńczych Jezuitów, których i ja nie przyjmuję.

Potem mówi król daléj:

„Śluby posłuszeństwa, które składają Papieżowi, nie zmuszają ich do słuchania jego woli, jak przysięga wierności, którą wy mi panowie składacie, że nie będziecie nic czynili przeciwko woli waszego króla. Ale ten ślub nie ma nawet ogólnéj rozciągłości, oni składają tylko na to ślub posłuszeństwa, że gdy im Papież rozkaże, pójdą nawracać niewiernych w dalekie kraje.“

Tak mówił wówczas król francuzki, a na końcu dodał: „Bóg chciał mnie wtenczas ukarać....“

Jezuici byli bowiem jego przeciwnikami więc teraz liczono na jego zemstę, ale Henryk IV. powiedział:

„Bóg chciał mnie wówczas ukarać, lecz zarazem ocalić. Dziękuję wam za to, on uczy nas przebaczać urazy i ja uczyniłem to z czystéj miłości dla niego. Dla tego będę się starał zapomnieć o tém, jak wy wcale nie po chrześciańsku mnie wzywacie, za co wam wcale nie dziękuję.“

Tak odprawiono wówczas deputowanych parlamentu.

Wspomniano tu także Fryderyka Wielkiego. Zwykle można spodziewać się dobrego skutku, skoro się można na niego odwołać. Przystaję na niejedno co tu powiedziano dla osłabienia jego powagi; przyznaję, że Fryderyk Wielki nie miał przyczyny obawiania się Jezuitów, że ich potrzebował w braku innych dobrych nauczycieli, a mógł ich każdego czasu zamknąć do pierwszéj lepszéj fortecy; przystaję na to wszystko. Lecz to nie jest główną przyczyną, dla któréj my się na Fryderyka Wielkiego powołujemy; czynimy to dla tego, że on podał najprawdziwsze powody, dla jakich Jezuitów zniesiono, a jeżeli kto mógł poznać bliżéj owe powody, to właśnie ów człowiek z tak wielkiemi zdolnościami, i z takiém znaczeniem w świecie politycznym. Jeżeli już takich powag cytować nie można, wtenczas zaiste! trudno, prawować się z wami, trzeba poprostu znieść potulnie wszystko, cokolwiek z nami uczynić raczycie. Fryderyk Wielki powiedział więc: „Tylko próżność, zemsta i samolubstwo przyczyniły się do zniesienia Jezuitów.“ To powiedział on, i na to głównie odwołujemy się; nie zaś na to, że on cierpiał i używał Jezuitów. A gdy taka powaga to wyrzekła, więc zdaje mi się że wy Panowie, moglibyście nieco się zachwiać w tych powszednich waszych komunałach, że zakon Jezuitów już wtenczas był niebezpiecznym dla dobra państwa. Tak, powiedzą niektórzy, ale ówczesny Papież! — Ależ w tym razie wchodzicie, Panowie, w dziwną sprzeczność z sobą samymi. Z jednéj strony mówicie nam: Na mocy dogmatu o nieomylności muszą katolicy przyjmować wszystko za dobre i prawdziwe, co Papież mówi i czyni, a z innéj strony widzicie tutaj jasno, że jeden Papież reformuje drugiego, że jeden w rzeczach rozumnych inaczéj działa jak drugi, z tego można więc wnosić, że nieomylność Papieża jest w bardzo ciasnych zakreślona granicach ściśléj dogmatyki, nauki wiary, i nie rozciąga się wcale na zewnętrzne stósunki do państw i królestw. Gdy nam tu niejedno czytano, że i dzisiejsi Jezuici co innego twierdzą — więc im to wykażcie, Panowie, postawcie ich pod pręgierzem nauki, oświaty, wszakże to dobrze umiecie i jużeście próbowali tego z Jezuitami, a jeżeli lud niemiecki jest tak prawowierny, chrześciański i pobożny, natenczas lud niemiecki zwróci się do waszéj czystéj nauki z większém zaufaniem niżeli do nauki Jezuitów. Prawcie kazania niemieckiemu ludowi, posyłajcie do niego liberalnych, nowoczesnych wędrujących kaznodziejów. P. Dep. Völk n. p. mógłby się udać w tę podróż; jest on mówcą wyśmienitym; jestem przekonany, że on nietylko w swoim okręgu wyborczym zrobiłby wielkie wrażenie (*wesołość*). Ale p. Völk nie powinienby tutaj jeno swą wymową ubijać Jezuitów; niechaj walczy przeciwko nim, przeciwko temu nie miałbym nic do nadmienienia i Jezuici także zapewneby nic przeciwko temu nie mieli.

Panowie, zwracam się jeszcze na chwilkę tylko do uchwały prawnéj, o któréj wprawdzie już tak wiele rozprawiano. Wiem bardzo dobrze, że *pro ratione stat voluntas*, argumenta tu nic nie wskórają; nie będę więc argumentował zwłaszcza, że już tyle a nawet i z téj strony (*ku lewicy*) przeciwko téj uchwale powiedziano. Słuchaliście, Panowie, przy innych głównych kwestyach na niektórych mężów postępowych, a mianowicie na głównego reprezentanta narodowych liberałów; cieszyłem się, słysząc mowy ostatniego, chociaż sobie niektóre zastrzeżenia do niéj zrobić musiałem, co atoli niechcę tu bliżéj objaśniać.

Więc tedy, Panowie, członkowie zgromadzenia Jeusowego, temuż pokrewne zakony i kongregacye mają być zniesione! — Jestem pewnym, że żaden z tych panów, którzy za tą uchwałą głosowali, nie zdoła zadać mi kłamu, gdy powiem, że wszyscy razem nie wiedzą co mają rozumieć pod temi ostatniemi kategoryami, oni tego wiedzieć nie mogą, i ja także nie wiem. I wy uchwalacie prawo o którém nawet niewiecie, co ono ma znaczyć, przeciwko komu jest zwrócone, kogo ma właściwie dosięgać. Co się tyczy tego, cóżmy tu u stołu rady związkowéj z ust pana Friedeberg słyszeli, wyznać muszę, że o ile moje wiadomości sięgają — a jako klerykał powinienem przecież znać się lepiéj na tych rzeczach od was — dziwnie mi się bardzo zdawało słysząc że Redemptorystów obok Jezuitów stawiacie. Trzeba przynajmniéj było przedłużyć nam jaką genealogią, toby się opłaciło; co do mnie, ja nie wiem nic o tém pokrewieństwie. Ależ — *stat pro ratione voluntas*!

A nawet bracia szkólni, którzy doprawdy tak różni od Jezuitów, jak niebo od ziemi, — zdaje mi się, że byli przez jakiegoś pana Lassalle w przeszłém stólściu założeni. Kiedy Jezuici udzielali tylko wyższe nauki, ustanowiono Braci szkólnych dla krzewienia nauk elementarnych; nie są oni księżmi, nie tworzą żadnego zakonu, nie składają żadnych ślubów zakonnych. Ale braci szkólnych wzięto szczególniéj na kieł, i dla tego spokrewniono ich z Jezuitami — w jakim stopniu, o to mniejsza.

Ależ, Panowie, czy to tak stanowią się prawa? zgadzaż się to z godnością parlamentu, żeby na zapytania tego rodzaju nie można nawet dać pewnéj odpowiedzi? Tego niepojmuje zapewnie lud niemiecki; chyba ten tylko, który macie po za sobą, a który tak bardzo wychwalacie; lecz ten lud, który *za nami* stoi, myśli niewątpliwie, że tak się prawa nie uchwalają; a mam nadzieję, że i rządy związkowe nieusankcyonują go, bo w istocie zdaje mi się niepodobieństwem, by prawo takie mogło być wprowadzone w życie.

Panowie, mam tu jeszcze wiele ko notatek przed sobą (*niespokojność*), lecz pomijam z nich wiele. Widzicie, że mam wzgląd na was, (*wesołość*); lecz do jednego muszę powrócić koniecznie, to jest do mowy p. Gneist'a. Mniemacie zapewne, że ten pan ma już dość na tém, co p. dep. Lasker przeciwko tejże powiedział, lecz mnie się zdaje, że p. Lasker chciał niejako oszczędzać współtowarzysza swéj frakcyi. Słysząc mowę p. Profesora Gneist'a i porównywając ją z tém, co od niego słyszałem w przeciągu mego parlamentarnego zawodu, czułem, że mi się tak samo robiło jak p. Laskerowi. Myślałem, że mi się śni to wszystko. To było mi jednakże jasném, że mowa jego przypominała żywe one czasy gnijącego państwa cezarów rzymskich, czasy retorów i sofistów. Tych widziałem jasno i przywiodłem sobie na pamięć słowa Tacyta: *ruere in servitium!* (*bardzo dobrze! w centrum*).

Ta mowa pana Gneist'a zdaje mi się perłą wszystkich rozpraw, *unicum* w swoim rodzaju, a zarazem drogoskazem do czego dążymy i czego oczekiwać mamy, gdyż jak nam to p. dep. Kardorff powiedział, idzie to o strategiczną wyprawę przeciwko Kościołowi katolickiemu, nie zaś, jak to inni udają, o wyprawę na Jezuitów tylko.

Że właśnie teraz p. Kardorff, miną swą zaprzecza, to ja oczywiście przyjąć muszę, dodaję więc że owo zdanie słyszałem tylko z jednéj strony, przeto pozwalam sobie zrobić o tym punkcie nawiasem kilka uwag.

Jedni mówią: Chcemy tylko występować przeciw Jezuitom; inni zaś mówią: Jezuici są jednoceni z Kościołem, więc choć się jak najuważniéj ucha przykłada, trudno rozróżnić, jak daleko występujecie, Panowie, przeciw Jezuitom, a jak daleko przeciw Papieżowi i Kościołowi. Czy się posuniecie tak daleko, jak owa konferencya badeńska tam przyszłość okaże. Ale, Panowie, że jedna strona życzy sobie rzeczywiście, aby uderzyć na Kościół, o tém wątpić podług mnie dłużéj nie można. Przytoczyłem już wyżéj co konferencya badeńska uchwaliła. Przypadkiem przeczytałem w przedwczorajszéj gazecie *Vossa* wyjątek z pisma jakiegoś pana Friedeberg młodszego — (*wesołość*). *Spenersche Ztg.* pochwala naturalnie myśl tę gdzie napisano: „Kościół katolicki jest instytucyą niebezpieczną dla państwa.“ Trzeba więc tak samo jak na Jezuitów i na Kościół uderzyć. Jestem przekonany, że niezadługo jaśniéj nam to wyłożą ci panowie, — którzy teraz dopiero przekopy robią i parallele, a szyk bojowy późniéj rozwiną...

Powracam znowu do pana Gneist'a, który nam mówił dawniéj: Mamy dosyć praw do obronienia się przeciw uroszczeniom Kościoła katolickiego, cały arsenał, w którym braknie tylko sankcyi kar; gdybyśmy tę jeszcze przydali, wtenczas wszystko byłoby w porządku; wtenczas możnaby sobie z Jezuitami i wszystkiém, co do tego należy, łatwo dać radę. Teraz nagle p. Gneist nie żąda już uchwalenia kar, wyraża się tylko z niejaką niechęcią, o tém że żadnych znaleść nie może, a to bardzo prostéj przyczyny, bo nic karygodnego nie ma. Gdy więc wszyscy ci Jezuici są porządnymi, poczciwymi obywatelami, gotowymi nietylko do sumiennego wypełniania swych obowiązków, ale gdy tego położenie wymaga, do ponoszenia wszelkich ofiar patryotycznych, czemuż bijecie na nich, nie karząc ich? a jednak trzeba bić na nich. Więc proponuje nam p. Gneist system, który pan Lasker bardzo trafnie opisał. P. Gneist mniema, że przedstawiając nam pewne instancye, rodzaj hierarchii, uczyni nam swój projekt smaczniejszym. Ten fortel wojenny zniweczył mu już p. Lasker. Gdybyście, Panowie, tę mowę — mam ją tu w gazecie — chcieli przeczytać uważnie, zdziwiliścieby się, na jaką drogę ten pan nas prowadzi. Pan Lasker nie wyciągnął z niéj jeszcze wszelkich następstw. Pan Gneist mówi, iż jest smutnie, że nie możemy ustanowić prawa karnego, ale musimy się przynajmniéj prawa prewencyjnego chwycić, a my Niemcy jesteśmy tak nadzwyczajnie sumienni — tu wygłosił na siebie, na swoje stronnictwo i swoich współtowarzyszy świetny panegiryk, — a w skutek téj sumienności mamy Jezuitów oddać pod zarząd administracyi, ona będzie wiedziała jak sobie postąpić, ona stoi w środku państwa; wysoka policya, nie ta pospolita, będzie wiedziała jak sobie z tymi ludźmi stosownie postąpić, ona jest tak oświecona, a zarazem tak wykształcona w prawie (*wesołość*) — mimochodem robię uwagę, że w rzeczach sądowych niepotrzebuje wcale być wykształconą—ona ma w ogóle potrzebne wiadomości aby w każdym pojedyńczym przypadku jak najsumienniéj sobie postąpić. Inny pan mówił znów o „jeniusza niemieckiego narodu“, którego nam tu dość często przedstawiają. Mniemałem że ten pan zaproponuje nam, by podejrzanych Jezuitów stawiono przed sąd przysięgłych, ci przecież są na to, aby rzeczy, nad któremi prawnicy daremnie sobie łamią głowy (*wesołość*), podług zdrowego rozumu ludzkiego sądzili, a lud jest, jak powiadacie, jak jeden mąż przeciwny Jezuitom, z wyjątkiem garstki Ultramontanów, których łatwo można „recuzować.“ I czemuż nie utworzycie sądu przysięgłych dla spraw Jezuickich? To niebyłoby jeszcze dość bezpiecznêm, przysięgłym niemożna także dostatecznie zaufać, tylko — saméj policyi.

Panowie, ten wyraz „Wysoka policya,“ przywodzi bardzo jasno na pamięć najwyższy szczyt despotyzmu Napoleona I. (*prawda! centrum*) i na ten szczyt doszedł także, jak się zdaje, p. Gneist. (*niepokój z lewicy*). „Wysoka policya“ wiedziałaby lepiéj wszystko, co przed sąd przyjśćby nie powinno.

Miano także osobne więzienia stanu. — tę instytucyę p. Gneist zapewne nam także zachwali — więzienia, gdzie osadzono takich niebezpiecznych państwu ludzi, których pod prawa stawić nie można.

Panowie, jeszcze dawniéj miano także Bastille. I to zbawienna instytucya, gdy sobie inaczéj poradzić nie można. (*wesołość.*) Mniemałbym, że tu w Berlinie dałoby się wystawić monumentalny budynek pierwszéj klasy tego rodzaju. (*Wołanie oh! wesołość*). I do takich środków przychodzicie, przyjść musicie koniecznie, jeżeli postępować będziecie na drodze, o jakiéj mowa, podług teoryi p. Gneista musicie także dojść do skrępowania prasy. Skądże były niegdyś tak częste procesa o tendencye z prasą? We Francyi tak było. Stronnictwo liberalne poruczało niebo i piekło przeciwko tym procesom o tendencye. Ponieważ, jak mówi pan Gneist, nie można było udowodnić co było właściwie karygodném w jakiém zdaniu lub artykule, ale tendencyą uważano za groźną państwu, dla tego wytaczano proces o tendencyą. A jeśli proces nie wystarcza, to skrępować prasę zupełnie! Boć dobro państwa przedewszystkiém! A więc procesa o tendencyę, ale oczywiście procesa tylko przeciw prasie ultramontańskiéj — to jasna, odpowiecie nam, bo przecież ona tylko jest niebezpieczną państwu. W takim razie będzie też można łapać pojedyńczych ultramontanów i klerykałów. Wszakże już po tyle razy zostaliśmy w tém zgromadzeniu nazwani nieprzyjaciołmi państwa, ludźmi bez ojczyzny. A czyż można cierpieć nieprzyjaciół państwa w jego łonie, Jezuitofilów, służalców — jak to powiedziano przedwczoraj — i wszystkich tych ludzi ślepo podległych Jezuitom? Podług teoryi p. Gneista, i ci wszyscy powinni także oddani być pod opiekę wysokiéj policyi.

Panowie, nie jest to bynajmniéj przesadą, jest to konieczną konsekwencyą teoryi p. Gneist'a; nie są to mrzonki które wynajdujem czasem, by jaką teorę do *absurdum* doprowadzić. Do wszystkich tych zajść jesteście na najprostszéj drodze przez głosowanie za zniesieniem Jezuitów. Przyjmując tę teoryę, uczyniliście pierwszy krok do wysokiéj policyi Napoleona I, do więzień stanu, do skrępowania prasy. Zapewniam was, że niezmiernie bolesne uczucia przejmują mnie. Od czasu, gdy wstąpiłem w zawód parlamentarny, byłem zawsze szczerze przywiązany do ustaw parlamentarnych, do tak zwanéj Konstytucyi, byłem czynnym podług możności, głosowałem może czasem za nadto w prawo czasem w lewo; starałem się dopomagać do budowania instytucyi parlamentarnych podług méj wiedzy i sumienia. Ale Panowie, teraz powstaje we mnie myśl smutna, że połowę mego życia przepędziłem w ciężkim błędzie i tracę prawie zaufanie w zdolność żywotną i skutki zbawienne instytucyi konstytucyjnych. (*prawda, centrum*). Ten właśnie wypadek, przed którym stoimy, powiększa te moje wątpliwości niesłychanie.

Wczoraj hrabia Münster wydał okrzyk boleści przy wniosku o marynarce, że ten wniosek narzucono nam w ostatnich tygodniach, że tak ważny wniosek ma być, jak to mowią, na łeb na szyję załatwiony! Tak nie może się nadal rządzić parlament, zawołał, musi być utworzona pierwsza Izba lub co innego.“ Zgadzam się zupełnie z hr. Münster, lecz zdziwiłem się, że hrabia odezwał się z tém przy wniosku o marynarce, a nie przy uchwale o Jezuitach. Wniosek o marynarce był przecież przedłożony komisyi gdzie zasiadali marynarze, można się więc było obustronnie porozumieć. W tym tu zaś przedmiocie zawisło jedynie od przypadku, czy ten, który zna rzecz tę najlepiéj, przyjdzie do słowa lub nie. Każdy, kto wstępuje na mównicę, wyciąga z kieszeni broszurę lub gazetę i czyta z niéj coś, co my inni, nie mając czasu, przeczytać po nim, nie możemy zbadać czy jest coś w tém prawdy lub nie. Utrzymanie

zasady *audiatur et altera pars*, jest wcale niemożebném. Przywodzę tu przynajmniej jeden przykład. Pan Dep. Wagener włożył tu coś w usta Jezuicie *Schneeman* w Laach. Szczęściem ten Jezuita — może przez podziemne związki jakie mają Jezuici — dowiedział się o tém i w dzisiejszym numerze *Germanii* zamieszcza objaśnienie zostawiające zaledwo cień z tego, co mówił p. Wagener. (*wesołość, słuchajcie!*) Zresztą może być prawdą, że Schneeman nie ma słuszności. Nie mogę między temi dwoma panami rozstrzygać. Lecz, Panowie, jestże to stósowne w ten sposób ustanawiać prawa tak ważne, przez które tyle obywateli zostaje wykluczonych z pod praw krajowych, i przez które rani się serc miliony? A tak stanowicie te prawa — dla tego trudno mi uwierzyć, aby rządy związkowe taki wniosek, który w takim pospiechu, jak to mówią przez noc — może tydzień namysłu miały prześwietne rządy związkowe — sankcyonować mogły. Rządów związkowych kontrolować nie możemy, ale tu podano nam wniosek bez urządzenia komisyi; najprzód podpisał ten wniosek pan Meyer, nieznający nawet statutów Jezuitów (*wesołość*), utworzono kopią, większość głosów 183 przeciwko 101 głosuje za tém i Jezuici zostają wyrzuceni na dwór. Panowie, to nie dobra metoda ustanawiania praw, a szacunek dla parlamentu, tyle ważny i potrzebny, nie może takiemi fabrykacyami parowemi wiele skorzystać. Jak powiedziałem, byłem zwolennikiem rządu konstytucyjnego, lecz widzę, że się myliłem. Panowie, jestem jeszcze zwolennikiem architektury niemieckiéj, a jako taki spodziewałem się, że będziemy mieli budynek parlamentu w gotyckim stylu. Lecz jeżeli przyjmiecie to prawo i ustanowicie więcéj jemu podobnych, natedy Panowie, nie będę głosował za gotyckim gmachem Parlamentu, ale za gmachem w stylu byzantyjskim (*bardzo dobrze! w centrum.*)

Co wy tu Panowie czynicie, jest w stylu byzantyjskim, czyli w stylu Napoleona I. A teraz róbcie co chcecie, kiedyć inaczéj nie możecie. (*Brawo, centrum.*)

Odpowiedź p. Dr. Romanowi Szymańskiemu.

Oddajemy słuszność p. Dr. Szymańskiemu, że autor artykułu o „kwestyi socyalnéj,“ zamieszczonego w nr. 27 pisma naszego, wyraził się tak nieściśle, że możnaby wyczytać ze słów jego, jakoby Dr. Szymańskiego zaliczał pomiędzy zwolenników socyalizmu. Pan Dr. Szymański niesłusznie (st. 43) przypisał socyalistom myśl stowarzyszeń; ale zresztą jest w książce swéj ekonomistą liberalnym, nie socyalistą; jest zwolennikiem zagorzałym szkoły *Adama Smitha,* i jego ucznia *Bartiata*, i tegoż ucznia *Schulzego* z Delitzsch, ale nie podziela dążności ani *Lassalla* ani tym mniéj: Marxa, Bebela i Liebknechta; dla niego „grzmot dział Bastyli bił salwę prawom godności człowieka,“ ale nie przyklaskuje on z Bebelem orgiom Komuny. — To sprostowanie winniśmy prawdzie. Natomiast nie widzimy powodu, dla czego Dr. Szymański zamieścił ustęp o socyaliźmie w bezpośrednim związku bynajmniéj nie stojący z wzmianką o jego osobie. Już dla oszczędzenia sobie miejsca, którego tak skąpi w swém piśmie, powinien był raczéj przytoczyć daleko krótszy, a jedynie stósowny ustęp ten:

„Program stowarzyszenia międzynarodowego jako jednę z naczelnych zasad stawia żądanie, aby każdy wedle swéj pracy udział brał w zysku i dobrach ziemi, *przyczém praca duchowa moralna nie wchodzi w rachubę jako ekonomicznie nieproduktywna* i tylko z ofiar dobrowolnych społeczeństwa się pokrywa, przeto że ważne temuż oddaje usługi. cfr. Volkstaat, patrz także zdanie Dr. Szymańskiego w broszurze *Siły moralne w ustroju społecznym*, w któréj nagania świętopietrze, Tow. św. Wincentego i inne, jako tylko konsumujące assocyacye.“

I w tém zdaniu, jakeśmy już przyznali, uczyniono krzywdę Dr. Szymańskiemu; gdyż wedle gołosłownego brzmienia posądzićby można Dr. Sz. o socyalizm. Jest w tém atoli raczéj wina pewnéj niezręczności pisarskiéj autora artykułu, zamieszczonego w naszém piśmie, nie zła wola jakaś, któraby zasługiwała na tę w nr. 42 *Orędownika* umieszczoną uwagę, że przepisy religii nie pozwalają w fałszywém świetle przedstawiać zdań i opinii drugich.“

Autor nasz widocznie miał na myśli to jedynie, że Dr. Szymański zeszedł się z socyalistami na jedném polu tj. w tém jedném zdaniu już poprzednio przez nas podkreśloném: że *„praca duchowa moralna nie wchodzi w rachubę* (*prac społecznych*) *jak ekonomicznie nieproduktywna.“* To on i dziś ponownie oświadcza, że „stowarzyszenia (jak św. Wincentego i św. Wojciecha bractwo) ze stanowiska ekonomicznego są konsumujące, a nie produktywne,“ i dodaje: „w czém ma téż słuszność.“

Otóż najpierw ze stanowiska nawet materyalistycznego ekonomii, nie koniecznie w tém słuszność. Bo w Towarzystwie św. Wincentego nie tylko „płacą pieniądze i od czasu do czasu zbierają się na pobożne rozmyślania i konferencye.“ Widocznie tu Dr. Sz. nie zadał sobie trudu, żeby poznać statuta św. Wincentego. Są one w najwyższym stopniu *socyalne*, a przytém oczywiście chrześciańskie. Czy nie jest produktywném stowarzyszenie takie, które wraca społeczeństwu siły nie jéno zgubione, ale gotowe już do wywrotu społecznego porządku? Otóż to czyni Towarzystwo św. przez to, że każdy członek jego jest opiekunem rodziny biednéj nie jeno urzędnikiem administracyi jałmużny; że każdy ma obowiązek jéj dawać nie jeno jałmużnę z Towarzystwa, lecz sercem się podzielić z poruczonym sobie biednym, że ma np., (iż wspomnę drobiazgi), obowiązek usieść w domu biednego, żeby się doń zniżyć, z nim spoufalić, a tak serce jego zgorzkłe wskutek nędzy pociechą osłodzić, z ludźmi pogodzić. Dr. Szymański mówi, że Tow. św. Wincentego „spieszy z pomocą ludziom nieszczęśliwym, z których bardzo mały procent nie jest ciężarem dla społeczności“ (51): prawda; ale w tém jego zasługa, że stara się z tych uczynić czynnych, produktywnych członków społeczeństwa, którzy dotychczas byli ciężarem jego. Dość tu będzie nadmienić: że biednemu z reguły Towarzystwa św. Wincentego nie daje się pieniędzy do ręki, lecz za to narzędzia i materyał do pracy; lecz wyszukuje mu się zarobek, poręcza się zań; a żywność daje mu się *in natura*; a dzieci biedne oddaje się w naukę rzemiosła. O skutkach pracy swéj zdaje sprawę każdy członek na konferencyach; a „pobożne rozmyślanie“ ogranicza się na zaczęciu i zakończeniu posiedzenia modlitwą, na czytaniu pobożném ze społeczno-chrześciańskiego pola, — o miłosierdziu, jak je czynić trzeba, żeby pozyskać duszę brata i swoję uświętobliwić przez doskonałe wypełnianie chrześciańskiego tego obowiązku swego.

Bractwo św. Wojciecha nie znajduje miru u liberalnego ekonomisty Dr. Szymańskiego, boć oddając grosz li-

chy „na potrzeby Piusa IX. oprócz modlitwy za nieszczęśliwy Kościół Polski nie mamy żadnéj innéj bezpośredniéj korzyści.“ Oczywista: namacalnéj korzyści materyalnéj nie ma. Ale *modlitwa* jest najwyższą pracą ducha ludzkiego, najwznioślejszą społeczną pracą duchową, moralną, — pracą dla chrześcianina najproduktywniejszą: bo ściągającą z niebios błogosławieństwo boże, co *siły produkujące* w nieskończoność, wszechmocnie mnoży. Nie uznając tego Dr. Sz., nie może logicznie trwać przy swém zdaniu (52): „Niechaj nikt nie robi naukom społecznym zarzutu materyalizmu, żadna bowiem nauka nie uwzględnia i nie uznaje tyle moralnéj, duchowéj natury człowieka, co one.“ Zdanie to, mieszcząc w sobie przesadę, jakoby ekonomia była najduchowniejszą nauką, jest samo w sobie nieprawdziwe; a w ustach Dr. Sz., które tak lekko wyraziły się „o modlitwie Piusa IX.“ są nieprawdą podwójną.

O szkołę Batignolską, jeżeli się nie mylę, ale też tylko o nią upomniał się już Kraszewski: więc tę już pominę.

Dr. Sz. w nr. 42 *Orędownika* twierdzi: że „określenie tych dobroczynnych i od Kościoła zalecanych stowarzyszeń i uczynków nie daje nikomu prawa do wyciągania wniosków, jakoby ktoś przez to samo odmawiał tymże stowarzyszeniom tego znaczenia, jakie im Kościół przyznaje. Że o tém w pisemku Dr. Sz. nie było mowy, to rzecz naturalna, bo nie było do tego żadnego powodu.“

Otóż stanowczo obstajemy przy twierdzeniu autora artykułu, „O kwestyi socyalnéj,“ że dr. Sz. „naganił (kościelne stowarzyszenia) jako konsumujące.“

Bo któż może co innego wyczytać z takiego np. zdania: „*Poświęcenia, ofiary powinni robić ci, którzy mają na to,* czy to człowiek jednostka, czy człowiek zbiorowy, a więc *naród*. Społeczność znajdująca się w takiém położeniu, *jak nasza,* powinna śród siebie rozwijać *assocyacyą głównie w kierunku produktywnym*: bo ta podaje środki do uczynków szlachetnych i dobroczynnych“?

Oczywista, my biedni: więc najpierw produkujemy; a potem, jako zbytku, pozwólmy sobie miłosierdzia, onych konsumujących assocyacyi.

Z tém wszystkiem atoli nie bardzo harmonizuje Dr. Sz. entuzyazm dla budowy teatru. Czy teatr produkuje co? Jak fakt pokazuje, chyba zgniliznę moralną.

A więc jak można było się z takiém lekceważeniem o modlitwie Piusa IX. wyrażać, o dziełach miłosierdzia Tow. św. Wincentego: a kilka stron przedtem (48) entuzyazmować się dla wcale nieproduktywnéj sceny! Że nieproduktywna, dowodzi p. *Jackowski* w swym *Rzucie oka* (49) przytoczeniem powagi zapewne niezbitéj dla Dr. Sz., powagi *John Stuarta Milla*. A jak wzdęte fantazyą i uczuciem słowo dr. Szymańskiego w sprawie teatru. „W ten sposób mogłaby stanąć i u nas świątynia (*sic*) sceny narodowéj, któraby nam ogrzewała (*świątynią*) serca i przypominała (!) że i myśmy niegdyś byli narodem purpurą (!) królewską odzianym, który — narody postronne respektowały (!)

Dr. Szymański utyskuje nawet, że „stoimy jeszcze na dość niskim stopniu rozwoju ekonomiczno-społecznego,“ kiedy np. Towarzystwo św. Wincentego znajduje więcéj członków, niż Towarzystwo Naukowéj Pomocy dla dziewcząt. Na to odpowiedź podaje się z tego, cośmy mówili: widocznie Towarzystwo św. Wincentego lepiéj pojęło zadanie swe społeczne w społeczeństwie chrześciańskiém. Dla Towarzystwa Pomocy Naukowéj dla dziewcząt ztąd prosta rada: żeby raczéj afiliowało się do Towarzystwa św. Wincentego, którego zakres obejmuje i cel szlachetny Pomocy naukowéj dla dziewcząt. A od razu stanie na jasno: nikt nie będzie miał wątpliwości, czy ten cel nie jest z przymieszką jakąś wolteryańską skrytéj niechęci dla Kościoła, czy nawet w pewnym względzie nie ma popierać dążności emancypacyjnych.

Nawet nieobeznanie się Dr. Sz. ze statutami Towarzystwa św. Wincentego nie może wytłómaczyć tego arcyliberalnego i arcyekonomicznego zdania jego, którém chciał zalecić Pomoc Naukową dla dziewcząt i wynieść ją ponad Towarzystwo św. Wincentego.

„A przecież każdy, mówi on (52), co jako tako obeznany z prawami nauk społecznych, *poda pierwszą rękę młodéj dziewczynie, w któréj oku perli się łza kryształowa, a drugą dopiero staréj nieszczęśliwéj wdowie.*“ Towarzystwo św. Wincentego oczywista nie patrzy czy łza wdowy staréj nie tak perlista, nie tak kryształowa, jak młodéj dziewczyny, ale uważa, gdzie pomoc jego najpotrzebniejsza i tam radzi wedle sił i możności. Żeby „starą, nieszczęśliwą wdowę“ co sobie z dzieciszkami, a choćby i sama poradzić nie może, opuścić dla „łzy kryształowéj młodéj dziewczyny,“ która może sobie zapracować na chleb wszędzie i zawsze: na to potrzeba być zagrzęzłym po uszy w systemacie ekonomicznym *Adama Smitha*, który nie widzi już nigdzie człowieka, tylko społeczną siłę produktywną, jak i w bydlęciu każdém i w machinie każdéj; na to potrzeba było zapomnieć nawet zdania pogańskiéj starożytności: *res sacra miser*, (świętością biedny).

Jeszcze raz powtarzamy, że zgoła nie myśleliśmy Dr. Sz. podawać za socyalistę. Od uprzedzeń liberalnego ekonomizmu naprzeciw stowarzyszeniom chrześciańskim, z żalem to wyznajemy, wyznać go wolnym i wymówić go nie możemy.

W końcu *Orędownikowi*, który o niniejsze sprostowanie u nas słusznie się dopominał, pozwalamy sobie przypomnieć, że czekamy już długo cierpliwie na uzasadnienie lub odwołanie jego artykułów o inspekcyi szkólnéj, które tyle krzywdziły cały nasz stan duchowny.

W sprawie „Upiorów“ Dziennika.

Dziennik poznański drukując swój artykuł pod tyt. *Upiory*, w którym zaprzeczał w ogóle eksystencyi masonów na świecie, popełnił jeden z tych wielkich błędów, który śmiertelny cios całéj jego dziennikarskiéj strategii i zręczności zadaje. Chciał on pismo nasze na s⁄tych wystawić, tymczasem podał się sam na pośmiewisko u ludzi, co nieco więcéj umieją, niżeli rozkoszować się czytaniem żydowskiéj *Neue freie Presse* lub przezywać *perfas et nefas* — ultramontanów. Porażka *Dziennika*, jakiéj doznał w téj sprawie, jest zupełną, i gdyby nam chodziło o radosne tryumfy nad przybitym do ziemi przeciwnikiem, mielibyśmy teraz najlepszą do tego sposobność.

Dziennik na odprawę naszę w zeszłym numerze *Tygodnika*, prócz przycinków zgryźliwych, nic istotnego odpowiedzieć nie zdołał. Zwycięstwa naszego niczém on nie zaćmi, ani zarzutem o pomieszaniu Haugewitza z Hardenbergiem, ani nawet natrząsaniem się z cudów miłosierdzia Bożego.

Co do pierwszego, napisaliśmy byli, że na kongresie weroneńskim r. 1822 ówczesny pruski minister hr. Haugewitz (*Dziennik* umyślnie przydaje *von*, czego w artykule naszym nie ma), zebranym książętom obszerny memoryał w sprawie masoneryi przedłożył.

Dziennik, który gwałtem choć za wielkiego historyka uchodzi, (a nie zna Dziejów Polski, kiedy o polskiéj masoneryi nic nie zasłyszał) z tryumfem wskazuje na naszę ignorancyą, i powiada, że Prusy w owéj epoce „żadnego ministra von Haugewitza nie miały, lecz że były reprezentowane tamże przez księcia kanclerza Hardenberga.“

Owóż my nie chcemy bynajmniéj rywalizować z uczonymi historykami *Dziennika*, musimy atoli oświadczyć ponownie i z wszelką stanowczością, że na kongresie w Weronie nie Hardenberg, lecz hr. Haugewitz, który był i ministrem pruskim i wielkim mistrzem loż masońskich, zniesienia téj straszliwéj sekty jak najsilniéj się domagał.

O reprezentowaniu zaś Prus, czy przez Hardenberga czy przez hr. Haugewitza, żadnéj nie było wzmianki w artykule naszym. Skoroby się historycy *Dziennikowi* przy swém twierdzeniu upierać chcieli, że hr. (*Dziennik* woli *von*) Haugewitz nic podobnego wówczas nie uczynił, tedy jawnie ich *crassam ingnorantiam* wytkniemy. *Dziennik* nie wiedząc nic zgoła o masonach, jakże może i o ich przeciwnikach wiedzieć? Owóż i tutaj nie damy sobie zwycięztwa z rąk wytrącić.

Co do drugiego — natrząsanie się *Dziennika* z cudownego uzdrowienia kominiarza Reicha u Przemienienia Pańskiego, wcale nas nie zastanawia, bośmy do podobnych wybryków ze strony naszéj bezwiernéj kliki literackiéj, która wszelkie nadprzyrodzone działanie w ogóle odrzuca, a z cudów w Piśmie św. do rozpuku się śmieje, oddawna przyzwyczajeni. I tu znowu żal nam, że inkwizycyi nie ma, któraby i co do tego punktu „redaktorów, opiekunów, patronów i historyków“ *Dziennika* na *autodafową uroczystość* wskazała.

W końcu musimy zarzucić historykowi *Dziennika* złą wiarę, kiedy faktyczność onego cudownego uzdrowienia od powagi *Tygodnika* naszego uczyni zależną, a umyślnie o urzędowym protokule i o zdaniu Dr. Koczorowskiego zamilcza.

KORESPONDENCYE.

(*C. G.*) **Rzym**, 7. lipca.

List pasterski kardynała Arcybiskupa Neapolitańskiego, wzywający prawowiernych do brania udziału we mających się odbywać wkrótce wyborach administracyjnych w tém mieście, prawdopodobieństwo, że ruch podobny powstanie i w innych miastach, a nawet w samym Rzymie przejęły wielkim przestrachem nietylko liberałów, ale i niejednego katolika. Pierwsi wiedzą dobrze, że katolicy tworzą znaczną większość i że zwycięztwo na polu walki wyborów bez wątpienia po ich będzie stronie, gdyby w ściśniętych szykach brali udział w głosowaniu. Liberały znają dobrze tak często przez nich używany manewr zasadzki niespodzianéj, i jego zgubne skutki, dla tego gotują się żwawo do walki, niechcąc popaść w błąd, w któryśmy tak często popadali. Używają więc wszelkich środków, aby pogodzić rozmaite żywioły i frakcye stronnictwa liberalnego.

Pomiędzy katolikami znów jedna część gorszy się temi obiorami administracyjnych, mniemając, jakoby udział w nich potwierdzał uznanie teoryi czynu dokonanego, i był dowodem poddania się nieprawnemu, narzuconemu rządowi.

Ta kwestya jest nader wielkiéj wagi i zbadawszy ją ściśle, biorąc przytém na uwagę niekorzystne szanse, możnaby łatwo stracić ducha. Zanim się wystąpi do walki potrzeba naprzód obliczyć się z własnemi siłami, jak i z korzyściami, które można osięgnąć.

Tym tylko sposobem można się uchronić rozczarowania i jego przykrych skutków.

Obawa liberałów przed wielką klęską, byłaby zaiste bardzo uzasadnioną, gdyby walka z ich strony tylko uczciwą bronią prowadzoną była, i gdyby wszyscy katolicy porozumieli się względem listy wyborczéj, brali udział w wyborach i pod jedną chorągwią, — kto zna stosunki włoskie nie będzie tego jeno obrazowo rozumiał — do urny wyborczéj pospieszyli. Jednakże nie zapominajmy o tém, że jesteśmy wystawieni na sidła podstępne naszych politycznych mataczy. W ich ręku spoczywa układanie list wyborczych, oni sami jak i ich zwolennicy i przyjaciele mają kontrolę nad własnemi machinacyami; prawa nawet, które ustanowiono tylko dla robienia rewolucyi dają im wyśmienitą rękojmię do pomnożenia przez tysiące liczby przychylnych dla nich wyborców. Krzyki przepłaconych urwiszów, obelgi motłochu, sztylet i rewolwer, należą we Włoszech do mezzi morali. Nie zapominajmy daléj, że stosunki wielu miast włoskich, zwłaszcza Rzymu, niedozwalają wielu osobom podawać się obecnie na listę obiorców, że ich stanowisko przeszkadza im wdawać się choć bezpośrednio z ludźmi, których opinie są im jak najwstrętniejsze. Nie zapominajmy daléj, że w wielu miastach jak np. w Rzymie, nowe obsadzenie niektórych tylko urzędów publicznych, zaledwie jaką widoczną korzyść przynieśćby mogło.

Czyż nas to ma zniechęcić? Nie! To nam ma tylko przywieść na pamięć ważność chwili, trudność położenia, a zatém wielką potrzebę energii i karności.

Katolicy powinni sobie przedewszystkiém uprzytomnić to, że radzcy municypalni tworzą jedyną władzę, któréj opiece powierzone są wszystkie instytucye miejskie. Przy teraźniejszém prześladowaniu Kościoła św. i jego świętych instytucyi jest obowiązkiem każdego katolika, odważnie i otwarcie bronić najdroższych spraw religii i wiary. Obecnie zaś jedynym placem boju, na który wstąpić możemy bez uwłaczania naszym religijnym i politycznym przekonaniom, są wybory municypalne.

Temi zasadami powodowany ukonstytuował się komitet wyborczy katolicki z kilku odznaczających się katolików i publicystów złożony, z wiedzą wysoko postawionych osób, ażeby wzywać współbraci do brania udziału w wyżéj wymienionych obiorach. Krótkość czasu i inne trudności nie wydadzą zapewne na ten pierwszy raz zadowalniających rezultatów; każdy początek trudny, a gdy katolicy przekonają się o pożyteczności, o ważności i o potrzebie brania udziału w wyborach nie będzie obecna praca daremną: bo utoruje ona drogę na przyszłość.

(*C. G.*) **Rzym**, 8 lipca.

Okólnik, w którym Kardynał Arcybiskup neapolitański wzywa Duchowieństwo swoje, ażeby wiernych o potrzebie, brania udziału w wyborach municypalnych, pouczało, wywołał niezmierną sensacyą w kołach przeciwników. Rewolucya i wszystko co się z nią wiąże, czuje się zagrożo-

ném; prosta odezwa do prawdziwych Włochów rzuciła popłoch w obóz Włochów fałszywych. Rabusie zajęci jeszcze plądrowaniem i burzeniem domu, którego bramy gwałtem wyłamali, widzą prawych właścicieli gotujących się do powrotu. Ministerstwo usiłuje daremnie ukryć swój zły humor i kłopot, co bardzo łatwo pojąć; Kardynał Riario Sforza odezwał się jasno i dobitnie. Dostojny prałat bynajmniéj nie schlebia nienawistnemu Rządowi, stawia go raczéj przed sąd wszystkich poczciwych obywateli. Słowa, jak te: „Nie zamierzamy wcale namawiać obywateli, aby się starali o urzędy, które przysięgi wymagają, lecz tylko aby przez swój udział w wyborach sparaliżowali działanie obecnych municypiów, które są ogniskami niemoralności i bezbożności“ — takie słowa rozpoczynają wojnę, i to wojnę któréj się przeciwnicy najbardziéj lękają.

Pojęcie obowiązku jest stałe i niezmienne, lecz niektóre obowiązki mogą ulegać zmianie według czasu i okoliczności. Za czasów zaburzeń sprowadzonych na kraj nasz przez Napoleona III nie mogli katolicy nic innego czynić, jak protestować milczeniem, ponieważ najmniejsze wmięszanie się ich do spraw publicznych mogło było za przyzwolenie być poczytaném; teraz, gdzie to dzieło niesprawiedliwości poparte podłą słabością Europy ma być potwierdzoném, powinni katolicy chwycić się środków podanych im do ręki, przez prawa bozkie i ludzkie, aby to dzieło obalić. Idzie tu o najwyższe ich dobro, o sumienie i religią. — Nigdy nie prowadzono wojny tak świętéj. —

W roku 1859 wielu słabych ale dobrodusznych ludzi dało się uwieść uludnym wyrazom: patryotyzm, wolność, postęp i t. d. Austryackie panowanie osłabione moralnie przez swój kosmopolityczny liberalizm i przez błędy rządu wiedeńskiego, było prawie od wszystkich stronnictw równo znienawidzone. Gwiazda Napoleona III błyszczała na zenicie, a fałszywy imperator zdołał wmówić w ludy, że można podeptać wszystkie prawa nietykając tém samém Kościoła św. Są bowiem w dziejach ludzkich okresy, gdzie nawet najprzewrotniejsze obłędy znajdują przyjęcie.

Dziś zmieniły się czasy. Odczarowanie im wolniéj następowało, tém jest zupełniejszém. Nowoczesny postęp zrzucił maskę; spadły łuszczki z oczu dawniejszych jego wielbicieli. Cóż pozostało z owych świetnych obietnic? Skrępowane, ujarzmione Włochy, Pius IX. więzień w Watykanie, a król Wiktor Emanuel satrapa potężnego cesarza niemieckiego. Jakież odczarowanie!

Z tytuacyą powinno się także postępowanie zmienić. Oprócz ogólnych powodów są jeszcze do tego szczególne, a nie mniéj ważne.

Najpierw tę uwagę musim uczynić; ponieważ urzędy municypalne niewymagają przysięgi politycznéj, dla tego niezakazywał nigdy Kościół św. wiernym starania się o nie przy wyborach. Zachowywane dotychczas wstrzymywanie się od wyborów polegało na innych powodach. Jak dotyczas niebyło *zakazaném* współdziałanie przy mianowaniu pojedyńczych radzców municypalnych, tak obecnie staje się obowiązkiem branie udziału przy wyborach, kiedy Arcypasterz dyecezyi wzywa do tego. Oby się ruch ten rozszerzył na całe Włochy; miałby on oprócz innych zalet i tę korzyść, żeby w niwecz obrócił grę naszych samowładzców, która, jak wiadomo, polega głównie na tém, że niepopularność praw w wyższych sferach obmyślonych, przypisują potém radzcom municypalnym. Niechaj kto spróbuje mówić poufnym Consorteryi o zabranych majątkach kościelnych, o wygnanych zakonnikach i zakonnicach; oni udawać będą obłudnie największe oburzenie. Król i jego radzcy są w tych rzeczach najzupełniéj niewinni, ubolewają nad niemi z całego serca i tolerują je tylko. Kiedy podatki uciskają nieznośnie, Bóg wydalony z Kościoła i szkoły, obwiniajcie o to niegodziwe municypia, one jedynie winne wszystkiemu. Jest to nędzna komedya, któréj się przypatrujemy na całym Półwyspie od lat 13, w Rzymie od 22 miesięcy. Z pomiędzy mnóztwa jeden przykład objaśni lepiéj nasze uwagi.

Zaledwie kolory piemonckie zawieszono w Viterbo, kiedy w mieście ustanowiono nowe municypium, złożone z najbrudniejszych członków społeczeństwa. Oczekiwano najwyuzdańszych bezprawi, skutków programu rewolucyi, zgroza napełniła serca dobrze myślących, zwątpienie owładnęło wszystkich. Na szczęście miasto Viterbo posiadało Biskupa z rozumem praktycznym i silną wolą, on pouczył wiernych, że wystarczy im jedna jeszcze broń ku zwycięženiu ciemięzców. Dzięki jego staraniom, przy pierwszym wyborze radzców komunalnych, dobre żywioły zwyciężyły, a tak to uchylone zostało wszelkie nieszczęście. Gdyby się dziś panu Visconti Venosti spodobało znieść klasztory w Viterbo, lub wizerunek Zbawiciela wynieść kazać ze szkoły, wtedy odpowiedzialność za to nie mogłaby już spaść na municipium, ale na rząd.

Niechby tylko większa część miast włoskich poszła za przykładem miasta Viterbo, wtenczas rząd subalpejski złapałby się we własne sidła; pozostałby mu tylko wybór: poddać się, lub téż wykreślić nasze imiona nietylko z listy obieranych, ale nawet z listy wybranych. Nawet ten ostatni rezultat byłby już sam przez się tryumfem, bo przez takie wystąpienie okazałoby się przed światem, że Włochy — powiedzieliśmy to już nieraz — są ofiarą kilku rabusiów, którzy je psują, by je oddalić od Boga, albo którzy je oddalają od Boga, by je upsuć do szczętu.

Jeszcze jedna nasuwa nam się uwaga. Municypia stały się dla rewolucyi prawdziwym skarbem, to jest jéj najpotężniejszym środkiem akcyi. Czy powinniśmy jako Chrześcianie powierzać nasze pieniądze rękom najnieprzebłagańszych nieprzyjaciół naszego bozkiego Zbawiciela? Mamyż mordercom, którzy się w krwi naszéj kąpali, dobrowolnie broń naszą oddawać! Nie, tysiąc razy nie! Będziemy walczyli i odniesiemy zwycięztwo, jeżeli wszyscy katolicy spełnią swoję powinność.

(*C. G.*) **Rzym**, 9. lipca.

Ojciec św. ma się, dzięki Bogu, bardzo dobrze! Ale niestety! muszę wam donieść smutną wiadomość o śmierci Kardynała Nicolo Parracciani-Clarelli. Urodził się d. 12. kwietnia r. 1799 w Rienti, a d. 22. stycznia r. 1844 został mianowany Kardynałem przez Papieża Grzegorza XVI. Od 22. lutego 1867 był Biskupem w Frescati. Przytém piastował godność dziekana przy Basilica Vaticana,

Sekretarza Brewiów Apostolskich, wielkiego kanclerza orderów papiezkich itd.

Od zajęcia Rzymu pogorszył się stan jego zdrowia, a wygnanie Kardynała z pałacu Consulty wykonane z oburzającą srogością, było przyczyną, że zapadł w chorobę, z któréj już niewyzdrowiał.

Obecnie żyje tylko jeszcze 8 Kardynałów, którzy z rąk Papieża Grzegorza XVI. kapelusz kardynalski otrzymali; są to: Kardynałowie Patrizi, Amat, Angelis, Casoni, Schwarzenberg, Ascuini, Caraffa, Sforza.

Śmiertelność w Rzymie jest zresztą od zajęcia go przez Piemontczyków daleko znaczniéjszą, niżeli była dawniéj. W przeszłym tygodniu umarło 212 osób, a urodziło się tylko 114.

Jedno z naszych rewolucyjnych stowarzyszeń „Frattellanza robotników", miało wczoraj posiedzenie w swym nowym lokalu w pobliżu pałacu Farnese. To posiedzenie miało być tak burzliwe, iż podczas niego były ciągle czynne telegrafy pomiędzy Rzymem a Neapolem to jest, pomiędzy prefektem Gadda a mieszkającym obecnie w Neapolu prezesem ministrów Lanza. Nawet władze wojskowe rozdzielały już rozkazy na przypadek gdyby „Frattellanza" miało się tłumnie wylać z swego lokalu na ulice miasta.

Widnokrąg zachmurza się w Rzymie coraz bardziéj. Rząd obawia się przemycania broni pomiędzy Livorno i Civita-Vecchia. Tameczne wybrzeża są ściśle strzeżone. Na wyspach znajdujących się w pobliżu brzegów, szukano broni. Riccotti Garibaldi jest naczelnikiem tamtejszych agitacyi. Lecz dla wielkiéj srogości wobec dawnych towarzyszów broni ojca jest nie bardzo lubiony.

Franchi Cafoni zaczęli wydawać czasopismo pod tytułem *Spartacus*, które podobno jeszcze przewyższa *Capitale*.

Obiory do municypium zajmują wszystkie stronnictwa w Rzymie. Na listach umieszczono w tych dniach 3 do 4000 Buzzurri. Lecz za to braknie niezmiernie wiele nazwisk znanych z usposobienia papiezkiego. Liczbę wyborców na listach doprowadzono już do 12000. Jednakże do 28. b. m. te listy będą jeszcze znacznie zmienione. Stronnictwo katolickie liczy na 2000 księży, na 2000 urzędników papiezkich i dawniejszych urzędników pensyonowanych i przynajmniéj na 4000 mieszczań, które w obiorach udział wezmą. Ma być 13 Radzców municypalnych obranych. Z tych chcą katolicy dać swe głosy 4 arystokratom, 4 uczonym, i pięciu, do stanu kupieckiego i mieszczańskiego należącym. Z arystokracyi będą zapewne do wyboru proponowani Campagnani, Salviati, Altieri i Torlonia. Z uczonych: Baron Visconti, Commend. Rossi. Z mieszczaństwa wymieniają Cagiati'ego Rotti'ego i innych.

Demagodzy i socyaliści wściekają się na myśl, że katolicy chcą wziąść udział w obiorach, a to z powodu, że rząd i Consorteria widzą się teraz zmuszonemi dołożyć wszelkich usiłowań, aby przeprowadzić kandydatów swego stronnictwa. I rzeczywiście rząd i Consorterya czynią niezmierne wysilenia, których dotychczas niepotrzebowały rozwijać, ponieważ czerwoni przy obiorach, gdzie zdolność do obierania zależała od census, nie mogli mieć nigdy większości. Komendant wojskowy wydał rozkaz wszystkim oficerom i władzom wojskowym, aby brały udział w obiorach municypalnych w Rzymie. Taki sam rozkaz wyszedł od ministra do wszystkich urzędników ich dikasteryi, a okrom tego Dr. Lanza wezwał wszystkich deputowanych i senatorów, ażeby się stawili w Rzymie przy odbyć się mających obiorach municypalnych.

Od dzisiaj rana obiega pogłoska, że prefektura powzięła zamiar zniesienia „il Società per gl'interezzi cattolici". Telegrafowano podobno względem tego do ministra Lanca do Neapolu. I to jest także tylko środkiem ażeby przeszkadzać w braniu udziału ze strony katolików w obiorach municypalnych. Zaprzeczanie téj pogłoski w *Liberta*, może nasze obawy tylko powiększyć.

Wczoraj byłem świadkiem konferencyi ewangielickiéj. Jest to najniegodziwsze bluźnierstwo i cześć składana szatanowi. Nigdy nie myślałem, aby tak otwarcie można brać się do czynu, do przekształcenia ludzi w dzikie zwierzęta. Nie masz zapewne nic obrzydliwszego jak takie usiłowania około obalenia papiestwa, ale chociażby nawet papiestwo nie było przez Jezusa Chr. na Opoce Piotrowéj zbudowane jeno ludzką ręką na piasku postawione — takie środki jeszczeby ich do pożądanego nie doprowadziły celu.

Z pod Brzozowa.

Pragnąc pielgrzymkę na intencyę Ojca św. poleconą nam przez Najprzewieleb. Arcypasterza Dyecezyi Przemyskiéj jak najkorzystniéj odprawić, przytém w owieczkach naszych ducha pokrzepić i ożywić: nadto — w obec nieprzyjaznych wpływów więcéj go w poczuciu katolickiem utwierdzić — otuchy i ufności mu dodać; — wreszcie temuż nabożeństwu więcéj siły i uroczystości nadać — uchwalono, po poprzedniém porozumieniu się z sąsiednim Dziekanem Sanockim — takową nie pojedyńczo, lecz zbiorowo — w jednym dniu i na jedném miejscu — t. j. w Staréjwsi w dniu 2. lipca odprawić. —

Aby pochodowi temu nadać więcéj uroku, uniknąć tłoku, jako téż i zaproszenia pojedyńczych parafii, uznano za stósowne podzielić okoliczne parafie na 4 korpusy, zdążające do mety pod przewodem swoich duszpasterzy, 4 oddzielnemi traktami; i tak:

1. Domararz, Golcowa i Blizne zdążały traktem Domoradzko Brzozowskim.

2. Od Wulki zaszła Jasienica, z którą się połączyły: Haczów i Starawieś.

3. Traktem Przysieckim przyszły: Wesoła, Dydnia, Izdebki i Przysietnica.

4. Traktem Sanocko-Brzozowskim zdążyły wspólnie i jednocześnie 8 parafii, jako to: Brzozów, Humniska, Grabownica, Jasionów, Strachocina, Jaćmicza, Besko i Sanok.

Nabożeństwo odprawiono solennie według następującego programu:

a) na wstępie uroczyste każdego korpusu przyjęcie, poprzedzone stósowną obopólną przemową.

b) Sumę solenną, cum expositione SS. odprawił na dworze przed kościołem najstarszy wiekiem H. Czaszyński, wysłużony dziekan oraz proboszcz Sanoka, zaś JX. Jackowski powiedział klasyczne, do uroczystości zastósowane kazanie. —

Po kazaniu kwesta na Ojca św. zbierana przez X. Feliksa Piękosza, Sanockiego Dziekana, przez X. Jana Steczkowskiego, prodziekana Brzozowskiego i X. kanonika Załuskiego proboszcza Brzozowa, przyniosła sumę ogólną 185 Złr. w. a. — W ciągu całego nabożeństwa trwała spowiedź, poczém wspólna komunia. —

Aby w téj mierze, jak można, największy pożytek duchowny osiągnąć, zalecono poprzednio, aby znaczniejsza część parafian, dniem poprzód, w swoim kościele odprawiła spowiedź, zaś nazajutrz przystąpiła w Staréjwsi do komunii wspólnéj. — Pomijając osoby słabsze, które z przyczyny uciążliwości podróży i wielkiéj spiekoty w własnym kościele parafialnym komunikowały, przystąpiło do Stołu Pańskiego 2,500 wiernych. —

c) Po krótkim wypoczynku nastąpiła konkluzya, składająca się z Litanii, suplikacyj oraz uroczystéj processyi; poczém zakończono nabożeństwo rzewną X. Baudisa pożegnalną przemową, po któréj pod przewodem przynależnych duszpasterzy ruszyły bezzwłocznie wszystkie korpusy z cmentarnego czworoboku w powrocie do domu.

Dzień to wielki i pamiętny zarazem był widocznie dniem błogosławionym, bo gdy kilka dni przedtém i potém przeciągłe panowały słoty, wyjątkowo w dniu Nawiedzenia N. P. Maryi pierzchły nad wsze spodziewanie miedziane chmury, uśmiechnął się firmament neapolitańskiém niebem i zajaśniało w całym majestacie zakryte dotąd słońce.

Wszakże mimo tak czarującéj pogody nie brakło chmur ciężkich i zasępiających w duchowym świecie. — Skryci nieprzyjaciele Kościoła chcąc sparaliżować tak wspaniałe zebranie i przygasić publiczne nasze wyznanie, — w przebiegłéj swéj przewrotności i wyrafinowanéj zręczności natężyli siłą, aby najniedorzeczniejszemi baśniami i groźnemi postrachami rzucić popłoch pomiędzy lud, rozsiewając np: że wielkie w tym dniu na Staréjwsi nieszczęście się stanie, — to, że przez Polaków będą napadnięci i do nogi wycięci, i że ztamtąd nikt do domu nie wróci; — to że niewiasty będą publicznie schańbione — to — że będzie proskrypcya do wojska Papiezkiego; to, że na każdego nałożą wielki podatek, kto bodaj grosz przy kweście na tacę rzuci, i t. p.

Mimo, że ta pielgrzymka zapowiedzianą była ludowi jeszcze w poście, przy ogłoszeniu dyspensy Biskupiéj, — jednak wieści te gruchnęły tak nagle, niespodziewanie i na różnych miejscach naraz, że nie było czasu wyśledzić źródło; — jedynie czujności Duchowieństwa, niewzruszonéj jego stałości i energicznemu wystąpieniu palma się należy, że pokonane zostały tryumfalnie skrytych nieprzyjaciół zamachy, pomięszane pewne ich rachuby i przedwczesna ich radość w litośny śmiech obrócona. —

Stanął bowiem obok swoich pasterzy, jako jeden mąż 25 tysięczny lud, zgromadzony z 18 parafii, w 7 milowym promieniu, albowiem od granic Wesoły aż włącznie po Sanok.

Lud pokrzepiony tak imponującém zebraniem, pouczony i do łez wzruszony wymownem, przekonywającém i gorącém JX. Rektora Jackowskiego kazaniem, wołał z uniesieniem i domagał się chórem, aby doniesiono o tém Ojcu św. i Dyecezalnemu Arcypasterzowi, aby Ich Miłość zapewniono, że mimo piekielnych wysileń w ludzie Polskim stara wiara żyje i że w swém sercu nieskalaną cześć i synowską uległość dla Namiestnika Chrystusowego, oraz Głowy Kościoła katolickiego przechowuje.

Powolni tak chwalebnemu życzeniu, przesłaliśmy w d. 3 lipca dwa telegramy, jeden do Przemyśla, a drugi do Rzymu, treści następującéj:

I.

Romam — Suae Sanctitati Papae Pio IX.

Populus Polonus cum suo Clero — numero ultra viginti nullia in hujata Ecclesia Beatissimae Virgini sacrata eo fine congregatus, ut Deum incolumitatem Sanctitatis Vestrae et universae Ecclesiae ores — ad pedes Sanctitatis Vestrae provolutus Apostolicam Benedictionem humillime rogat. —

Starawieś penes Brzozów in Galicia, Austriae, die 2. Julii 1872.

Felix Czaplic Pohorecki Suae Sanctitatis Camerarius.

Joannes Steczkowski Vice-Decanus Brzozowiensis. — Felix Piękosz Decanus Sanocensis.

II Telegram:

Przemyśl — Jaśnie Wielmożny Ksiądz Biskup Maciéj Hirschler.

Lud z 18 parafii z swoim klerem na czele w przeszło dwadzieścia tysięcy w kościele Starowiejskim zgromadzony, aby błagał Boga o ocalenie Kościoła katolickiego i jego Najwyższéj Głowy, prosi najpokorniéj Jaśnie Wielmożnego Pasterza swego, aby ten wyraz niezłomnéj wiary i synowskiéj uległości łaskawie przyjąć i Jego Świątobliwości oświadczyć raczył. —

Starawieś przy Brzozowie dnia 2. lipca 1872.

X. Feliks Piękosz Dziekan Sanocki. — X. Jan Steczkowski Prodziekan Brzozowski.

Jakże wielkie było nasze zdziwienie i niewysławione uszczęśliwienie gdy Ojciec katolickiego świata, mimo swych trosk ciężkich i ogromu zajęcia i o najdrobniejszéj trzódce swojéj nie zapomniał, lecz w dniu 6 b. m. raczył nadesłać telegramem do Jasienicy najłaskawszą odpowiedź treści następującéj:

Roma 5/7 — Brzozów 6 lipca 1872.
Domino Steczkowski
Prodecano Brzozów — Galicia Austriae.

Summus Pontifex Polonis in Starawieś congregatis pro devotis precibus pro Sua incolumitate gratias plurimas agit et benedictionem Apostolicam peramanter impertitur.

J. Cardinal Antonelli mp.

Cześć i chwała niechaj będą za to Najwyższemu Panu, szczéra i serdeczna podzięka Najdostojniejszemu Arcypasterzowi Dyecezyi, że nas do tak zbawiennego nabożeństwa powołał, a błogosławieństwo wszystkim tym parafiom, gdzie lud z pasterzem — a pasterz z ludem. —

X. Jan Nep. Steczkowski,
Kanonik-proboszcz
oraz Prodziekan Brzozowski.

— W numerze 41 *Orędownika* czytamy pod napisem: „*Z powodu ciszy*“ ciekawy z wielu względów artykuł. Przytaczamy z niego kilka ustępów:

Nurtujące podejrzenia, dzikie pogłoski, o których *Kuryer* wspomina są dzisiaj pomiędzy nami już faktami, które istotnie doprowadzić mogą do potwornych następstw.

Faktem jest, że ludzie najzacniejsi powtarzają sobie, iż poseł Krzyżanowski jest tylko nieświadomém narzędziem t. z. ultramontanów! Tego rodzaju zarzut uczyniony człowiekowi publicznemu, któremu odwagi cywilnéj nie można odmówić, może się zrodzić tylko z moralnéj zgnilizny.

Faktem jest, że pisano i mówiono, iż są ludzie między nami, co za talara godność narodową sprzedadzą, że są ludzie, dla których polskość jest zawsze przedmiotem targu dla więcéj dającego. Zastanowionoż się, czy téż nas nieszczęśliwych będzie kto chciał kupić, czy się téż znajdzie kupiec na naszą biedę!

Zwracamy także uwagę publiczną na korespondencyę z Poznania zamieszczoną przed kilku dniami, o któréj trudno powiedzieć, czy ją zaliczyć dokategoryi podejrzeń i dzikich pogłosek, czy téż już do kategoryi potwornych następstw Trzeźwo patrzący człowiek zachodzi w głowę i nie wie, co o tém myśléć.

Jeszcze jedna uwaga. Te podejrzywania, te dzikie po-

głoski, to nie chwilowe symptoma wynikłe z ostatniéj naszéj śremsko-petycyjno-jezuickiéj gorączki, one sięgają w dawniejsze czasy, i mimowoli nasuwa się myśl, czy też czasem nie ma miedzy nami ludzi, którzy według swego sumiennego przekonania politycznego tego rodzaju środki uważają za najodpowiedniejsze do poparcia sprawy narodowéj. Jest w tém coś tajemniczego.

Przed rokiem, gdy się miało zebrać walne zgromadzenie akcyonaryuszów teatru polskiego, téj instytucyi, co ma świadczyć o żywotności naszego imienia, puszczono po Poznaniu pogłoskę, że ultramontanie chcą teatr podkopać. Ludzie najuczciwsi wierzyli temu i zwoływali po mieście akcyonaryuszów, wołając: ratujcie teatr!

Przed kilku miesiącami — w lutym — mówiono tak publicznie, tak głośno, z taką pewnością o spisku tajnym wymierzonym na rozbicie zawiązującego się Towarzystwa Oświaty, że przeszło stu najzacniejszych obywateli uważało za rzecz konieczną w tajemnicy zgromadzić się w wilią zebrania w Bazarze, i pod słowem obowiązać się, że jeden w drugiego będą ratowali zagrożonego Towarzystwa. Obywateli tych zaklinano na miłość Ojczyzny, pokazywano im listy, dokumenta zamachu. Po ulicach wymieniano nazwisko herszta tego spisku! Gdzie są te listy, gdzie dokumenta, co to za nędznicy, co chcieli rozbić Towarzystwo Oświaty?

To są symptoma demoralizacyi, to bandytyzm sztyletujący który się wdziera do opinii naszéj. Pojmujemy p r z e c i w n i k ó w, bo tych rozdziela różnica zdań, środków, ale nie różnica celu, — lecz nie pojmujemy n i e p r z y j a c i ó ł między nami, bo tych nie łączy żaden cel wspólny. Jeżeliby zaś istotnie mieli być między nami nieprzyjaciele sprawy publicznéj, to poseł Krzyżanowski, który się głębiéj na rzeczy zapatruje, ma zupełną słuszność, gdy mówi, że nie pozostałoby nam nic, jak zgłosić się do konkursu.

Wolno każdemu przypisywać do powyższych uwag, jaką chce doniosłość, wolno je uważać albo za symptoma demoralizacyi, albo też za niesmaczne plotki brukowe, ale sądzimy, że i t. z. liberali i t. z. ultramontanie mają wspólny interes zastanowienia się nad tém, bo to są w każdym razie fakta, które nas szarpią i wprawiają w coraz większą gorączkę.

Chodzi o usunięcie téj gorączki, ale nie w ten sposób, żeby usuwać jéj symptoma, lecz żeby zniszczyć jéj przyczynę. Ten proces może się odbyć tylko przez wyświecenie i zrozumienia naszych interesów narodowych. Sprawy téj samodzielnie rozbierac nie możemy, bo już i tak wychodzimy po za ramy pisma naszego, trzymamy się tedy i daléj przy *Kuryerze*.

Kuryer głęboko, bo jako fizyolog złe pochwycił, — uderzył on w samo d z i e n n i k a r s t w o. Można mu téj taktyki powinszować. Tam istotnie złe tkwi. *Kuryer* słusznie skarzy się na to, ż e n i e m a m y p u b l i c y s t ó w fachowych. Tak jest. U nas chwyta się pióra każdy. Ludzie ci p i s z ą, ale — *exceptis excipiendis* nie p r a c u j ą. Publiczność odbiera od dzienników za mało materyału, któreby ją z natura spraw publicznych obeznawał. Skutek jest ten, że dzienniki wychodzą na czterech stronach odrukowane, ale słabo wpływają na ukształtowanie opinii publicznéj, która nie kwitnie postępem, ale zakwasza się.

Przed niedawnym czasem, kiedyśmy tu mieli jeszcze 3 pismo codzienne, znaczna część ich współpracowników przyszła z granicy. To jest nie dobrze, bo ludziom takim brak przenikliwości w sprawach publicznych. Współpracownicy ci nadto zmieniają się często, pracują w redakcyach czas krótki; i to nie dobrze, bo redakcye składają po części z rekrutów. Faktem zaś jest, że przed kilku miesiącami w jednéj z tutejszych redakcyi pracowali razem lub z kolei: tercyaner, czy sekundaner, niedojrzały czy już dojrzały nawet abituryent giminazyum śremskiego, kwartalny czy półroczny akademik, a nawet Amerykanin, — Polak, który wróciwszy z Ameryki w pierwszych chwilach nie wiedział, co robić, i zabrał się do preparatów w laboratoryum opinii publicznéj. Jak tacy współpracownicy mogą oddziaływać pracą swoją na opinią publiczną!

Ten niedostatek fachowych publicystów wywołuje czasami najkomiczniejsze poławy. Niedawno temu jedno z pism naszych podniosło znaczenie u n i i r o m a ń s k i é j d l a społeczności naszéj do tego stopnia, że *Nordd. Allg. Ztg*, która wojowała i wojuje z romanizmem, chwilowo uderzona, rozpisała się o tém w artykule wstępnym. To samo jednak pismo nie zamieściło w swych łamach petycyi śremskiéj, którą nawet liberalizm nasz uznał za objaw romanizmu, co mu wszakże znowu nie przeszkadzało, ażeby późniéj oddrukować nadesłany sobie telegram kardynała Antonellego. Nie chcemy nikogo rozśmieszać, ale pytamy szczerze, czy kardynał Antonelli — Jezuita pierwszy! — nie został przez ów dziennik fortelem ujęty! Takie przymioty przysługują więcéj dyplomatom, publicystom mniéj.

Proste zapytanie do Dziennika.

Dziennik z lekceważeniem i jakoby wzruszając ramionami wspomina o cudzie, który się u Sióstr Miłosierdzia w Poznaniu zdarzył. My bierzemy na siebie, że *Dziennikowi* rzeczywistości tego cudu dowiedziemy; potrzeba nam tylko kategorycznego ze strony *Dziennika* oświadczenia, czy wogóle redakcya jego wierzy w cuda, w cuda Chrystusowe i w cuda po Chrystusie Panu?

— Zwracaliśmy już uwagę *Gazety Toruńskiéj*, że jéj korespondencye paryzkie pisane są w duchu przeciwnym pojęciom, jakie ona w Polsce popiera. Niechaj nam *Gazeta* nie bierze za złe, że jeszcze raz rzecz tę poruszamy. My cenimy ją, uznajemy jéj użyteczność, więc jeżeli jéj czynimy przełożenia, to nie w chęci zaczepiana lub krytykowania, ale ze względu na dobro sprawy kościelnéj i narodowéj. Korespondent paryzki *Gazety* sprzyja wyłącznie formie republikańskiéj. W tém nie ma jeszcze nic zdrożnego. Ale wynosi on ciągle tylko po Gambettę i tylko zwolenników republiki, i to właśnie nas uderza i obudza baczność naszą. Pamiętajmy, że p. Gambetta i że rzeczywiste stronnictwo republikańskie są przeciwnikami jawnymi i głośnymi Kościoła katolickiego, jego nauki i karności, tudzież udziału duchowieństwa w wychowaniu publiczném, że zalecając przewagę idei państwa, zdjęcie księżom prawa nauczania itd. Korespondent zaczepia ciągle członków prawicy i prawego środka w Zgromadzeniu narodowém, odmawia im rozumu, patryotyzmu, posądza o mizerne pobudki, powtarza plotki i bajki ich przeciwników; owoż nie godzi mu się zapominać, że wszyscy gorliwi katolicy tam zasiadają, i że tam szukać należy starych i wypróbowanych przyjaciół naszéj sprawy, jak p. St. Marc. Girardin, Albert de Broglie, zięć p. de Montalembert vicehrabia de Méaux, ks. biskup Dupanloup itd. Nas razi takie wyłączne przejęcie się namiętnościami obcemi, jak u paryzkiego korespondenta *Gazety Toruńskiéj*.

Redaktor X. J. Stagraczyński w Wonieściu. — Nakładem i czcionkami A. Schmädicke w Poznaniu. — W komisie L. Streisandta w Grodzisku